JAN STANISŁAW WOJCIECHOWSKI: Hasłem tego numeru *Aspiracji* jest „ogród". To trop do problemu zajmującego znaczące miejsce w debacie publicznej, jakim stało się ocieplenie klimatu i różne prawdziwe (a czasem symulowane) kłopoty trapiące ludzi zamieszkujących naszą planetę. Jednym z realnych problemów jest oczywiście zanieczyszczenie środowiska produktami współczesnego przemysłu i skutki nielimitowanego przemieszczania się ludzi. Planowaliśmy nasz numer, myśląc o nieszczęściach wynikających z topnienia lodowców i ławic plastiku na oceanach i zastanawiając się, jaki to ma i jaki może jeszcze mieć odzew w sztuce.

Zamykamy numer w sytuacji, której groza przerosła katastroficzne nastroje sprzed kilkunastu tygodni, koronawirus zmienił bowiem cywilizacyjny krajobraz w sposób nieoczekiwany, a jednocześnie szybki i radykalny, usuwając na drugi plan wcześniejsze niepokoje i pobudzając nowe. W chwili gdy to piszę, rozpoczyna się dopiero śledztwo w sprawie jego źródeł – czy są naturalne, czy „symulowane". Pochodzenie koronawirusa jest dziś bardziej namiętnie dyskutowane niż ocieplenie klimatu. Człowiek stoi za wirusem czy może raczej siły nieludzkiej natury (Natury)? Od tych odpowiedzi zależy także odpowiedź na inne nasuwające się natychmiast pytanie: czy człowiek jest władny poradzić sobie ze skutkami tych katastrof, czy raczej powinien pogodzić się z nieuchronnością wydarzeń?

W tych pytaniach na różne sposoby dotykamy źródłowych sporów o kulturę, a więc o relację między tym, co ludzkie, a tym, co naturalne. Mamy rozliczne świadectwa włączania się artystów do debat na te tematy. W niniejszym numerze analizuję twórczość Zdzisława Sosnowskiego, jednego z najważniejszych artystów powojennego pokolenia *baby boomers*. Pokolenie to wyszło z późnomodernistycznego pozytywizmu poznawczego i wpadło w objęcia postmodernistycznego fantazmatu, wykonując rodzaj zwycięskiego, rozpasanego wizualnie tańca na Naturze. Dziś co inteligentniejsi gorzko tego żałują i szukają ponownie jakichś form realizmu, jakichś form sojuszu z nią, zwłaszcza gdy Natura znów podnosi głowę. Czyż ogród nie jest starą, wciąż aktualną metaforą możliwego sojuszu? W warstwie obsługiwanej przez nauki przyrodnicze pojawiają się rozważania o wpływie ocieplenia klimatu na formy praktyk artystycznych. Prof. Jan Rylke stawia śmiałą tezę o zależności między oziębieniem bądź ociepleniem klimatu a dominacją stabilnych obiektów sztuki bądź ich procesualnych form. Nie od rzeczy jest w rysującym się kontekście globalnych katastrof stawiać pewne problemy z obszaru nauk humanistycznych, zwłaszcza antropologii kultury (sztuki). *Vide*: tekst Mateusza Salwy ukazujący ogród jako kluczową metaforę stojącą u źródeł filozofii kultury.

Tu wtrącę tylko, nawiązując do gorącej kwestii modernizacji (bądź jej zaniechania), którą podjął mój współredaktor prof. Sławomir Marzec, w trybie niejako interwencyjnym, w poprzednim numerze. Wbrew pozorom nie jest to problem odbiegający daleko od sporów dotyczących źródeł katastrofalnych zjawisk oraz sposobów radzenia sobie z nimi.

U źródeł wszelkich modernizacyjnych postaw stoi przecież pewna teza antropologiczna. Radykalni moderniści przyjmują bezalternatywnie tezę: „natura jest w nas". A jeśli tak, to zarówno przyczyny, jak i skutki zjawisk „naturalnych" są „w ludzkich rękach". Dużo tu cudzysłowów, bowiem ci, którzy radykalnymi modernistami nie są (tak jak ja), mają do Natury o wiele bardziej solidny (by nie powiedzieć nabożny) stosunek. Gotowi są nawet pisać to słowo dużą literą. Natura istnieje bez nas, chociaż może mieć jakiś refleks w kulturze (a więc także i w sztuce), która jest domeną człowieka, co w niczym nie uwłacza autonomii natury. Nie niweluje jej specyficznego usytuowania wobec człowieka, na zewnątrz raczej niż w środku. Spekulacja – powie ktoś – pewnym wyobrażeniem przestrzennym, o tym, co w środku, i o tym, co na zewnątrz. A ile możliwych myślowych i światopoglądowych konsekwencji. (Liczę, że zrozumieją, o czym piszę, moi koledzy rzeźbiarze – specjaliści przecież od przestrzennych „spekulacji"). Popieram bowiem gorąco stanowisko prof. Marca wyrażone dobitnie w jego polemice z K. Banasiakiem – *O sztukę wolną od modernizacji*! Tak, modernizacja, jeśli wydobyć sens tego pojęcia z wąskich ram praktyk artystycznych związanych z pewnym typem organizacji oraz finansowania i umieścić w perspektywie filozofii kultury, szybko ujawnia swoje drapieżne światopoglądowe tropy. A wiodą nas one... Ech, zostawmy na razie te spory, to nie temat na wstępniak.

Aby jednak wtrącić do polemiki Marca z Banasiakiem swoje trzy grosze, powiem: to wspaniale, że ruszyła w Polsce i rozwija się modernizacja endemiczna (oddolna, rodzima, lokalna), wypierając modernizację okcydentalną (światową, globalną, wzorcową). Nie damy rady udźwignąć w Polsce ciężaru radykalnego oporu wobec modernizacji w ogóle, zwłaszcza w jej globalnej postaci. Nie uda się to, nawet jeśli pojawia się dziś cień konserwatywnej rewolucji w innych krajach. Więcej powiem: taki opór nie ma sensu antropologicznego – perspektywę humanistyczną tworzą bowiem „ogrody", a więc inteligentne formy uprawy Natury i sojusze z nią. Katastrofalne są natomiast plantacje i przemysłowe kurniki. Modernizacja endemiczna nie powinna być rozumiana jako „biedna" czy „spóźniona" wersja okcydentalizmu, jak chcą to widzieć w Polsce zwolennicy *outsourcingu*, lecz jako oryginalna i autonomiczna (podmiotowo zarządzana), jedna z wielu wersji modernizacji. A zatem nie opór radykalny i perspektywa przyszłości zindywidualizowana i pluralistyczna, choć mglista, lecz upodmiotowienie całego pola sztuki w ramach polskiego obszaru kulturowego, jego znaków, symboli i metafor. A w tych ramach globalna (europejska) k o n k u r e n c j a! ¶

SŁAWOMIR MARZEC: Wiodącym tematem w tym numerze jest ogród. Mit czy obietnica, a może tylko nadzieja? Ogród spełnia funkcje symbolu, wręcz archetypu tego, co idealne, rajskie. Stanowi wyobrażenie tego, co źródłowe, lecz i docelowe, ostateczne. Fundamentem europejskiej kultury była przecież harmonia łącząca to, co boskie, z tym, co naturalne, przez działanie człowieka. Tak przynajmniej dowodzili teurdzy przypisujący rodzajowi ludzkiemu przeogromne zadanie dopełnienia Aktu Stworzenia. Oświeceniowa mitologia rozumu (*sic!*) przynosiła wiarę w niezależność od uwarunkowań materii. Mieliśmy właściwie stworzyć świat na nowo – sprawiedliwy, racjonalny i bezpieczny. Dzięki krytycznej modernizacji i rewolucji. Po totalitarnych doświadczeniach XX wieku nie tylko Adorno przekonywał, że pomysł ten skończył się gułagami i *Konzentrationslager*. Nadal nie brakuje wszakże „optymistów" twierdzących, że wystarczy jeszcze bardziej zradykalizować środki, a owo Świetliste Jutro się objawi.

Czymże jednak jest idea ogrodu dzisiaj, w czasie narastającej subiektywizacji, a zatem niezależności od środowiska, a przede wszystkim w obliczu totalnej technicyzacji życia? Pewne pytania, problemy, ale i formy wrażliwości lub wyobraźni przestają już mieć rację bytu w dzisiejszym świecie zero-jedynkowych identyfikacji. Zanikają jednak nie tyle mocą jakichś racjonalnych rozstrzygnięć, lecz jako pochodna technicznej praktyki. Techniczna ekspansja wyzwala nas od zastanej naturalności, a jednocześnie podporządkowuje nowym rygorom i instrumentalizacjom. I raczej niewielka pociecha, że opresje te mają charakter technicznych instrukcji, a nie metafizycznych dogmatów.

Pomysł, że możemy zignorować naturę, że potrafimy wykształcić sztuczne, nowe środowisko, okazuje się niesłychanie ryzykowny. Te wszystkie tsunami, trzęsienia ziemi, pożary, powodzie, epidemie i nadciągająca apokalipsa ekologiczna dowodzą czegoś zupełnie przeciwnego. Takie są właśnie konsekwencje porzucenia zasady równowagi na rzecz dominacji czy wręcz eksploatacji. Nasz Kryształowy Pałac budowany obecnie już tylko ze „słusznych żądań" ma tak przezroczyste okna, że pojawia się podejrzenie, iż wręcz ich nie ma. Że został tylko metalowy szkielet, i tylko wmawiamy sobie, że nasza higiena osiągnęła tak wysoki poziom „mycia okien", że nie widać szyb.

A szerzej: jaki jest dziś status natury? Czy wszechpanujący konstruktywizm kulturowy w ogóle dopuszcza nadal takie pojęcie? Podobno następuje denaturalizacja wszelkich naturalizmów. Pojawiły się też pokolenia ludzi, którzy – tak jak nowojorscy twórcy kultury masowej – nigdy nie opuścili miasta. Dla nich naturalny nie jest cień drzew i szum wiatru, lecz stukot metra i spaliny. Moją przynależność do innego paradygmatu „naturalności" uprzytomniłem sobie, obserwując starszych ludzi na górnym Manhattanie, którzy siadali na ławce pod krzakiem w betonowej donicy. Ławka stała na wysepce między trzypasmowymi ulicami. Wokół sznur samochodów, a oni relaksowali się, czytając

gazety pod tym rachitycznym krzakiem. Dodać należy, że w promieniu kilku kilometrów była to jedyna zieleń wystająca spod asfaltu.

Paradoksalnie dzisiaj, gdy ponoć stoimy u progu tworzenia zupełnie sztucznego środowiska, wręcz transmisji ludzkiej świadomości (i życia) w przestrzeń wirtualną, idea ogrodu znowu powraca w postaci rizomatyki, zasady kłącza jako samorzutnie harmonizującej się i konkretyzującej natury. Zresztą coraz częściej pojawiają się swoiste „ogrody", jako miejsca naturalne, np. działka na Manhattanie wydzielona jakieś trzy dekady temu, gdzie rosły jedynie rośliny sprzed przybycia Europejczyków. Bez jakiejkolwiek ingerencji. Obecnie zaczynają masowo pojawiać się balkonowe, dachowe miniogrody, jak tessera wypełniająca coraz większe szczeliny i spękania naszego Kryształowego Pałacu.

Przed laty z powodów zawodowych poczułem się zobligowany przedrzeć się przez ponadtysiącstronicową *Historię ogrodów* Majdeckiego. Biblię architektów krajobrazu. Lekturę tę mogę jedynie przyrównać do *Wojen peloponeskich* Tukidydesa, które czytałem przez bodaj trzy lata jako wyborny usypiacz – dwa akapity i odlot. Polecam. Niemniej jednak znalazłem i w tych dziejach ogrodów bezcenną informację. Bowiem w końcu dowiedziałam się, po co były te wszystkie wojny, rzezie, masakry ludów – otóż *umożliwiały wymianę doświadczeń i wiedzy w zakresie zakładania i prowadzenia ogrodów*. Być może zatem mit ogrodu jest jakąś odpowiedzią. Temat ten analizować będą na naszych tzw. szarych stronach wybitni znawcy: Jan Rylke i Mateusz Salwa. ¶